Nr. 19. We Lwowie dnia 9. maja 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

NAD PRZEPAŚCIAMI.

VI.

Rozpacz i trwoga i ów płacz
Straszna świadomość końca —
Zmieniają w zamęt cichy czas
Południowego słońca.

Syk, krzyk, płacz, jęk i szału śmiech
I westchnień szept głęboki
Leją się ciężką falą ech
Na szczyty i na stoki.

Z każdego żlebu ciemnych gór,
Z każdej przepaści mgławej
Jęk się dobywa: wzdycha bór
I płacze pas siklawy.

Potok odbrzmiewa jęków tchom,
Cały w łkających pianach;
Szaleje głazów szary złom,
Skacząc po zdartych ścianach.

Z opocznych szczelin, z skrytych jam,
Z wnętrza ponurej puszczy,
Jak długie pasmo mgławych plam
Snuje się widmo tłuszczy.

Snuje się, wzmaga, gęsty kłąb
Wypełnia przestwór cały:
Szczytów zszarpany zginął zrąb,
Znikły urwiste skały.

Świat na nie spłynął, wszystek świat
Po tych przestworach sunie —
Za nim tysiące idą lat
W rozwianym w krąg całunie.

Świat tutaj spłynął... Łzy do stóp
Zlewają się ściemnione:
Ten płacze ojca, a ten w grób
Najdroższą niesie żonę.

Temu już w piersi zbrakło tchnień:
Na wieki żegna dziecię!
Rośnie łez fala .. straszny dzień!...
O świecie! świecie! świecie!

Twojej boleści gdzie jest kres?
Gdzie raju ciche niwy?
O świecie! świecie! ziemio łez,
O świecie nieszczęśliwy!...

Fala łez rośnie... W bezmiar mórz
Ta fala łez wyrosła.
Chwila — a świat pochłonie już —
A gdzież jest łódź? gdzie wiosła?

Bez łodzi, wioseł, w smutku dal
Posępny orszak płynie
Po tym bezmiarze słonych fal,
Po wzdętej łez głębinie.

Trumny porywa gorzki wir,
W bolesną pędzi sferę;
Za niemi żywy płynie kir
I jęczy »Miserere«.

Płynie ach! dokąd? gdzież jest kres?
Kiedyż się ból twój prześni?
O świecie! świecie! ziemio łez!
Kraju pogrzebnej pieśni!

Płynie ach! dokąd? tam, gdzie łan
Wielkiego cmentarzyska,
Gdzie myśli ludzkiej kres jest dan,
Gdzie fosfor prawdy błyska.

Gdzie myśl, co biegła w słońca wyż,
Ku niezgłębionej treści,
Płacząc całuje drogi krzyż
I słania się z boleści.

Gdzie myśl, odziana w czarny len,
W żałoby to okrycie,
Przestaje pytać: wieczny sen,
Czy też wieczyste życie?

VII.

Cisza . sierpniowy, jasny dzień
Otula widma szczytów
Wiewną powłoką ciepłych tchnień,
Idących z nieb błękitów.

Na stromych stokach lśnistych gór,
O granitowe ściany
Oparty, drzemie cichy bór,
W błękitne mgły odziany.

Czasem się ozwie dusza drzew
I zcicha coś poszepce,
Gdy je pogładzi cichy wiew,
Co skalne trawy depce.

Potok, w słonecznych złocie skier,
Szemrze w kamiennem łożu;
Falami cichy idzie szmer,
Rozpływa się w przestworzu.

Między szczątkami zdartych pni,
Między szaremi ławy
W cichej kotlinie szkliwość lśni:
Milczące, ciche stawy.

Znieruchomioną dziwną krucz
Mają te wód źrenice:
Snać kryje głębia stawnych ócz
Niezgadłą tajemnicę!..

Głaz niewidzialna rzuca dłoń..
I głaz szczytowy spada
W przepaści cichą, mgławą toń,
Gdzie śmierć spoczywa blada.

Ponad przepaścią, której głąb
Powłoka mgieł schowała,
Na skał wirchowych wszedłszy zrąb
Leżą śmiertelne ciała.

Do ciał powrócił ludzki duch —
Dziwną przebywszy drogę,
Spojrzał w przepastnych mgławic puch
I czuje trwogę — trwogę..

Jan Kasprowicz.

Ruch ludowy
w pruskim zaborze.

Niejednokrotnie zarówno tutejsze jak i poznańskie pisma wykazywały analogję pomiędzy stronnictwem ludowem galicyjskiem, a t

Moi przyjaciele za-uralscy.

(Z notatek wygnańca).

(Dokończenie).

W każdym jego ruchu znać było pośpiech i gorączkę wewnętrzną.

— Co z tobą, Achmecie? — zagadnąłem — co chcesz robić tej nocy?

— Cicho, brat Bolak — zaczął znowu szeptać pośpiesznie — przyszła pora pokazać znowu Kozakom, psom chińskim, — że z Kirgizem trudno... Wielkie tabuny koni wypędził Kozak w step, za Katajską stanicę... w nasz step... trzeba je odbić... już Murad mój poszedł i inni poszli z mego „ułusu“... mnie teraz trzeba do nich... — Achmet już dawno „Baranta“ nie miał... kozak myśli, że Kirgiz szałtaj-bołtaj (pogardliwy wyraz)... Oj będzie gra tej nocy, będzie...

Tu zrobił wymowny ruch ręką, jakby dźgał kogoś w brzuch nożem.

— Dawaj prędko proch i bywaj zdrów, już czas — księżyc wkrótce schowa się za Ural... A przychodźcie na „koczówkę“ — dodał, odwiązując konia od słupa.

— Ej, Achmecie — rzekłam — strzeż się, kozak to mściwy pies, co będzie, gdy złapią? „Apajka“ płakać będzie.

Machnął ręką, powiedział z lekceważeniem:

„Szałkaj — bołtaj, — i w oka mgnieniu wskoczył na siodło.

Dałem mu proch i uścisnąłem dłoń, a gdy począł cichym truchtem się oddalać, patrzałem długo za ginącym w mrokach nocy i z głębi duszy słałem mu życzenia:

— Wracaj szczęśliwie do „jurty“ swojej, waleczny Cydzie swego plemienia, ty witeziu stepowy, bez zmazy i strachu, mścicielu bezwiedny krzywd jego... Niech cię księżyc nie zdradzi... niech ci ręka nie zadrga w przygodzie...

* * *

Upłynęło znowu dni kilka, lecz Achmet znaku życia o sobie nie dawał. Niepokój nasz o niego począł wzrastać, w miarę tego, jak w miasteczku zaczęły obiegać rozmaite wieści o niesłychanie zuchwałym napadzie rabusiów kirgizkich na tabuny kozackie, o niepowodze-

zw. stronnictwem ruchu ludowego, które w dzielnicach naszych w pruskim zaborze coraz większego nabiera znaczenia. Porównania takie czynione były i przez ludzi, sprzyjających tym partjom i w obozie przeciwników.

Gdy jedni szukali w nich otuchy, stwierdzając, że dążenie ludu polskiego do większej samodzielności społecznej i politycznej rozszerza się po całym kraju i ogarnia wszystkie te dzielnice, w których wogóle dążenia polityczne manifestować się mogą, że zatem jesto siła żywiołowa, której nic nie stłumi,—drudzy dzwonili gwałtownie na alarm i nawoływali konserwatystów obu dzielnic do solidarnego działania przeciw wspólnemu a groźnemu nieprzyjacielowi. Korzystano przy tem z dobrej okazji, aby wszelkie winy ludowców galicyjskich składać na barki dr. Szymańskiego i jego partji i na odwrót za wszelkie usterki poznańskich „warchołów“ czynić odpowiedzialnymi zwolenników „Kurjera Lwowskiego“ i „Przyjaciela ludu“.

Jesto zresztą zwykła taktyka naszych konserwatystów, że wszystkich swych przeciwników, począwszy od masonów i liberałów aż do socjalistów i anarchistów, mieszają w jedną masę, by ich tem łatwiej zmiażdżyć i na proszek, w moździerzu utłuc, bez względu na różnice przekonań, celów i dróg, któremi dążą.

Jakkolwiek w tym wypadku zestawienie nikomu krzywdy nie czyni, jednakże zauważyć i pamiętać należy, że ruch ludowy w Poznańskiem i stronnictwo ludowe w Galicji w innych zupełnie warunkach zrodziły się i rozwinęły i mimo pewnego pokrewieństwa całkiem odrębny mają charakter.

Galicja i Ks. Poznańskie od czasów rozbiorów zupełnie różne przechodziły koleje, a wskutek tego i stosunek wzajemny klas społecznych tu i tam w całkiem inny ukształtował się sposób. Chcąc też zrozumieć znaczenie i charakter dzisiejszego ruchu ludowego, koniecznie trzeba choć pobieżnie przypomnieć sobie koleje, jakie w ciągu ostatniej ćwierci wieku społeczeństwo nasze w pruskim zaborze przechodziło. Konstytucja cesarstwa niemieckiego, jak wiemy, nie czyni różnicy między klasami. Choć pod innemi względami szwankuje, jednakże jej ordynacja wyborcza zadawalnia nawet radykalnych demokratów, gdyż zawiera prawo tajnego powszechnego głosowania.

Chwila, gdy konstytucję tę u nas wprowadzono, była właśnie dla społeczeństwa polskiego niezmiernie ważną. Przepływały wówczas kraj nasz cały prądy liberalne i demokratyczne. Była to epoka nagłego wytrzeźwienia po cierpieniach i klęskach 63-go roku, epoka narodzin pozytywizmu warszawskiego, okres, w którym hasła pracy organicznej najdonośniej rozbrzmiewały. Księstwo Poznańskie chwilowo podlegało ogólnemu prądowi, że zaś pola do pracy organicznej było tam dużo, a nie brakło i pewnej w tym kierunku tradycji, bo działalność dr. Marcinkowskiego i jego towarzyszy

---

niu wyprawy i o tem, że najważniejszych jej hersztów zabito, lub schwytano... Nic jednak pewnego zkąd dowiedzieć się nie można było. Pewnego wieczora, gdyśmy siedzieli przed chatą naszą na przyźbie, rozmyślając nad losem Achmeta, ujrzeliśmy chłopaka kirgizkiego, przemykającego się wzdłuż płotów ulicznych. Chłopak przystawał, rozglądał się na wszystkie strony, znać było, że trwoga kieruje jego krokami; tak zbliżając się ku nam powoli, stanął wreszcie przed nami, drżący i wystraszony. Był to syn Kirgiza.

— „Małajka“ (chłopak) mów, co się stało? co z ojcem, co z wami? — odezwaliśmy się do niego obydwa, sami zniecierpliwieni niepewnością.

Chłopak patrzał na nas wzrokiem wylękłym i błędnym i nie mógł mówić; z oczów jego wyczytaliśmy wszystko...

— Mów że, mów, co z ojcem? — znowu przemówiliśmy do niego. Dreszcz przebiegł po całem ciele biedaka, począł jednak niewyraźnie bąkać, dławiąc się, co chwila, łzami:

— Achmet... kozak... baszka — tu wskazał ręką na głowę — pobił... związał... cały Kirgiz złapał... siedzi teraz w „katałaszka“ (koza)... ja uciekł... tu załkał głośno, dusząc się spazmatycznie.

Wszystko się nam wyjaśniło. Achmet żyje, ale zbito go, zraniono i wtrącono do więzienia... To szczęście, że go nie zabito — pomyśleliśmy sobie w duchu — chyba nie poznano; inaczej położyliby go kozacy na miejscu.

. . . .

W parę miesięcy po owej nieszczęśliwej, nocnej wyprawie Achmeta i jego towarzyszy, w sądzie miejscowym rozpatrywano sprawę bandy rabusiów kirgizkich.

Poszliśmy na posiedzenie sądowe, by choć wzrokiem pożegnać naszego przyjaciela.

Siedział na ławie oskarżonych spokojny, apatycznie-ponury i tylko od czasu do czasu, jak żbik zraniony, rzucał nieprzygasłem jeszcze okiem po sali i obecnych. Twarz miał strasznie sińcami pokrytą, gdzieniegdzie czerniła się na niej krew zakrzepła, głowę miał obwiązaną brudnemi szmatami. Gdy nas dojrzał, uśmiechnął się dobrotliwie, radośnie.

Sędziowie mówili długo, z oburzeniem o znanem „zuchwalstwie innorodców“, o „instynktach zbójeckich“ plemion kirgizkich i ich urąganiu prawowitym władzom.

pracy torowała drogę, więc żywo te hasła w czyn zamieniać zaczęto. W tych czasach społeczeństwo nasze w Ks. Poznańskiem organizować się zaczęło i wtedy właśnie powstało najwięcej takich pożytecznych instytucji, które rozwój naszego narodu wspierać i podtrzymywać mogły. Towarzystwa rolnicze i przemysłowe, kółka włościańskie, teatr polski w Poznaniu między innemi owej epoce ruchu i pracy gorliwej byt swój zawdzięczają. — Ponieważ wówczas szlachta — a raczej obywatelstwo ziemskie było jedyną klasą społecznie uświadomioną, posiadającą pewne tradycje w pracy publicznej, a wreszcie i środki odpowiednie, więc naturalnie ono stanęło na czele ruchu, ono dawało inicjatywę i kierunek wszystkim przedsięwzięciom, ono wreszcie ofiarnością swoją je dźwigało. Ówczesny liberalizm szlachecki miał też obok patrjotycznego pewnego rodzaju demokratyczny zakrój.

Konstytucja niemiecka sama wskazywała mu drogę. Ponieważ wszystkie stany powołane zostały do życia politycznego — zatem należało wszystkie stany pod względem narodowym uświadomić, ażeby obronę naszej sprawy na jaknajszerszej i na jaknajpewniejszej oprzeć podstawie. W interesie kraju, dla obrony przed germańskim naciskiem zbliżył się pan do rzemieślnika i chłopa w roli przyjaciela i kierownika. Antagonizmu klasowego między nimi nie było, bo nie było żadnych przywilejów. Uwłaszczenie nastąpiło już dość dawno, aby pańszczyźniane tradycje zatrzeć się mogły, prawa polityczne zostały zrównane, a różnice położenia ekonomicznego nie wywoływały rozdrażnienia wzajemnego, gdyż stawały się mało znaczące wobec ucisku ekonomicznego, wywieranego z zewnątrz, tj. przez rząd pruski i niemiecki kapitał.

Oświata ludu stała się sprawą najpilniejszą i za taką uznano ją jednogłośnie — rząd pruski poniekąd torował jej drogę — lecz jej sam nie stworzył. Przymus szkolny oswajał chłopa z książką, z koniecznością kształcenia się, lecz nie bogacił i nie rozwijał jego umysłu, gdyż germanizacyjny charakter szkół ludowych osłabiał ich pedagogiczne znaczenie. Sądząc bezstronnie, unikając wszelkich przesądów i uprzedzeń, przyznać trzeba, że w owej porze właśnie inteligencja — a wśród niej najliczniejsze obywatelstwo ziemskie — położyło wielkie dla ludu zasługi i ogromnie przyczyniło się do jego umysłowego, społecznego, a nawet ekonomicznego rozwoju. Przez same kółka włościańskie, stworzone i kierowane głównie przez t. zw. szlachtę, tj. ziemian, już ci ostatni dobrze zasłużyli się ojczyźnie. Pisemka ludowe, wiece, zgromadzenia polityczne i wydawnictwa popularne dopełniły reszty. Już w pierwszych chwilach powstania tego ruchu, wmieszał się do niego jeden czynnik, który decydująco w dalszym ciągu wpłynął na jego kierunek — czynnikiem tym było duchowieństwo, trzymane na uboczu przez ks. kard. Ledóchowskiego w pierwszej erze jego polityki, lecz zmobilizowane przez walkę kulturną. Nie obeszło się bez starć między szlacheckim liberalizmem, a klerykalizmem księży i ultramontanów, lecz wobec faktu, że walka kulturna zagrażała zarówno kościołowi, jak polskości, że lud polski bardzo religijny, a niedość jeszcze narodowo uświadomiony, w obronie ołtarza rozgrzał się, zapalił i stanął

Drżeliśmy o Achmeta.

Młody wice-prokurator, Polak, oskarżyciel z urzędu, dowodził zręcznie — zaznaczamy to na chwałę imienia polskiego — że to nie pospolita kradzież, nie rozbój dla zysku i rozboju, lecz smutny objaw namiętności plemiennych, wynik podboju, ścieranie się wrogie dwu kultur etc...

Nic tu — twierdził — nie pomogą kary, bodaj najsurowsze, dopóki stosunki bytowania się nie odmienią.

Sędziowie wyrok złagodzili. Skazano Achmeta — stosując zwykle używaną w takich wypadkach miarę — na ośm miesięcy aresztu i dwa lata osiedlenia w pustych stepach tobolskich.

...Ciężar spadł nam z serca.

...A więc będziesz znowu, bohaterze stepowy, pełnił swą powinność, znowu, po swojemu, podniesiesz chorągiew rokoszu! a więc powrócisz stepom rodzonym!

...Cóżby one były warte bez ciebie!

* * *

Gdy więźniów wyprowadzano, docisnęliśmy się do Achmeta, żegnającego się ze swoją wierną „Apajką“ i dzieciakami, by uścisnąć dłoń jego po raz ostatni...

— Nie bój się, brat Bolak, Kirgiz w stepie nie przepadnie!...

. . . .

— Ach, pies przeklęty — odezwał się do mnie w tej chwili mój gospodarz — widzisz go, znowu się wymknął!... Pożałowali panowie sędziowie stryczka na psa takiego... a ty, człowieku prawosławny, cierp!...

Gotów był wówczas samego „caria batiuszkę“ przeklinać, tak był rozżalony.

W. J. Van Greyf.

po stronie księży—szlachta pro publico bono — zrezygnowała ze swoich odrębnych przekonań i wraz z ludem i duchowieństwem stanęła w szeregu. Ultramontanie wzięli górę, liberalizm zanikał lub chował się w ukryciu, a komenda przeszła powoli w ręce księży. Zaczęło się wówczas utrwalać identyfikowanie interesów polskich z interesami katolickiemi; wszystkie narodowe dążności zabarwione zostały religijnym charakterem i oświata ludu na ten ton nastrojoną została. — Księgarnie ludowe zalał cały potok wydawnictw pobożnych, żywotów świętych, rozmyślań o piekle i niebie, komentarzy do ewangelji itp., dziełka popularno-naukowe usunięto na szary koniec, prócz książeczek historycznych, a książki i pisma, piorunujące na masonów, największe zyskały powodzenie. Była to rzecz na czasie — mówiąc po dziennikarsku — aktualność. Pod masonami rozumiano takich ludzi, jak Bismark i minister Falk. — Życie publiczne wytwarzało pomiędzy klasami pewne koleżeństwo i zależność wzajemną. W życiu koleżeńskiem kontrola jest niezmiernie łatwą i ścisłą, zwłaszcza w takim niewielkim zakątku jak te nasze dzielnice, więc jednostki musiały się poddać większości i kto tylko chciał mieć wpływ i znaczenie, kto tylko wogóle chciał coś robić, musiał nietylko powtarzać ogólne hasła, lecz ich się trzymać. Nie wybierano na posłów tych, którzy post przełamywali lub do spowiedzi nie chodzili, więc kto chciał krajowi służyć, musiał piątki obserwować i niedziele święcić.

Walka kulturna trwała lat kilkanaście i skończyła się dość powolnym odwrotem. Sklerykalizowała ona społeczeństwo, zatamowała liberalne i postępowe prądy, cofnęła rozwój umysłowy inteligencji, a oświatę ludową wprawdzie posunęła naprzód, lecz wtłoczyła w dość ciasne koryto. Wywołała jednak pewne umysłowe zrównanie się klas, gdyż nie zapominajmy, że co dla jednych było cofnięciem się — to u drugich znaczyło już pewien postęp, że choć inteligencja, zniżając się do mas, ścieśniła swój umysłowy widnokrąg, to jednak rozszerzyła pojęcia młodszych braci. Dzięki temu właśnie spotykamy się w zaborze pruskim z objawem bardzo oryginalnym: w żadnej dzielnicy niema tyle oświaty u ludu, ani też tyle ciemnoty wśród warstw wyższych. Śmiało też można powiedzieć, wykluczając wyjątki, że przeciętny Poznańczyk: obywatel, ksiądz, kupiec — a nawet prawnik lub doktór zwykle nie przewyższa pojęciami poznańskiego włościanina lub rzemieślnika. Nie biorę tu naturalnie pod uwagę zasobu wiadomości, lecz samodzielność umysłową i społeczną dojrzałość.

Położywszy dość znaczne dla sprawy narodowej zasługi — szlachta poznańska wyczerpała się nietylko pod umysłowym względem. Ująwszy ster spraw publicznych w swoje ręce, stworzyła dużo pożytecznych rzeczy, lecz niemi pokierować nie umiała. Wielka jej ofiarność w wielu razach poszła na marne. Gdzietylko chodziło o ekonomiczne sprawy, o dobrą administrację — tam panowała wielkopańska i staropolska gospodarka — nieoglądanie się na jutro, rachuba na „jakoś to będzie“, nadmiar lenistwa czy łatwowierności, dość że niemało publicznego grosza roztrwoniono bez śladu lub nawet z wielką dla społeczeństwa stratą. I w publicznej i w prywatnej kasie rządzono się nieopatrznie, a gdy się dobre czasy dla rolnictwa skończyły — następowały krachy jedne po drugich. W owym czasie nastąpił też ważny zwrot w naszej polityce zewnętrznej — jeśli się tak wyrazić można.

(C. d. n.).

Kartki naukowe.

DZIEJE ŻYCIA NA NASZEJ PLANECIE.

(Dokończenie).

Roślinność w końcu epoki trzeciorzędowej była już nadzwyczaj obfitą, lecz zupełnie odmienną od teraźniejszej. Gęste lasy, które pokrywały ówczesny świat, składały się przeważnie z olbrzymich drzew paprociowych, a także rosły tam nieznane nam obecnie rozmaite gatunki innych drzew. Lecz rzecz dziwna, nie było jeszcze w owym czasie żadnych roślin, wydających kwiaty i owoce, w jakie obfituje nasza roślinność. A zatem były to lasy o wyglądzie jednostajnym, bez pięknych barw i upajającej woni naszych lasów. Przytem owe lasy musiały być smutne, gdyż owadów w owym czasie było jeszcze nie wiele, rozwinęły się one dopiero wtedy w pełni, gdy na ziemi pojawiły się kwiaty, na których mnóstwo owadów żyje. A ponieważ w owej prastarej epoce nie było ptaków ani ssawców, brakło więc lasom tej wdzięcznej muzyki, na jaką składają się tysiączne głosy ptasząt, delikatne brzęczenie owadów, a wreszcie głosy ssawców. Natura była niemą, rozlegać się w niej musiał jedynie łoskot grzmotu i świst wichrów.

Gdy, opuściwszy epokę pierwszorzędową, przyglądać się będziemy stworzeniom kopalnym, pochodzącym z epoki drugorzędowej, to spostrzeżemy, że niektóre gatunki i rodziny dawnych zwierząt i roślin wygasły, ale natomiast zjawiły się nowe odmienne gatunki, a ogólna liczba zwierząt wzrosła jeszcze więcej.

Epoka drugorzędowa była głównem panowaniem gadów. Istotnie żyły wtedy w wielkiej ilości na lądzie i w wodzie tak ogromne jaszczury, że wymiarami swymi przewyższały największe znane nam ssawce, jak słonie, mamuty, nosorożce i t. p. Co to musiały być za olbrzymy, wnioskować możemy z kilku liczb następnych: jaszczur zwany „Brontosaurus“ miał 15 metrów długości, a „Atlantosaurus“ 24 metrów, „Cetiosaurus“ posiadał nogi tak wysokie, że jego kość biodrowa równa się wysokości człowieka. Szkielety tych jaszczurów poznajdywano głównie w Ameryce; lecz nie brak ich było i w Europie: nawet tu, gdzie piszę te „Kartki“, oglądałam wielokrotnie „Iguanodony“, któremi słusznie szczyci się muzeum brukselskie; posiada ono aż pięć takich potworów. Jaszczury te mają potężne tylne nogi, znacznie dłuższe od przednich, szyja, niezmiernie długa, zakończona małą główką, sięga aż pod sam sufit sali: iguanodony chodziły na dwóch nogach, podobnie jak dzisiejsze ptaki.

W epoce drugorzędowej żyły również jaszczurki, latające w powietrzu, lecz były one niewielkich rozmiarów. W owym czasie zjawiły się również pierwsze ptaki: niektóre z nich były dziwnie zbudowane, miały one w dziobie zęby, a inne posiadały długi ogon, jak u jaszczurek, lecz okryty piórami: z powodu takiej budowy musiały te stworzenia gorzej latać od naszych teraźniejszych ptaków. Zjawiły się też nieliczne ssawce, były one drobnych rozmiarów.

W połowie epoki drugorzędowej roślinność staje się więcej urozmaiconą, gdyż pojawiły się pierwsze rośliny kwiatowe. Widzimy tedy, że życie na naszej ziemi wciąż się rozwijało i mnożyło pod rozmaitemi postaciami.

W epoce trzeciorzędowej znajdujemy znowu wielkie zmiany w porównaniu z drugorzędową. Ilość zwierząt zimnokrwistych o wiele się zmniejszyła: olbrzymie jaszczury zginęły, natomiast zwierzęta ciepłokrwiste — ptaki i ssawce stały się bardzo liczne. Jednocześnie zwiększyła się liczba owadów wraz z rozwojem pięknej roślinności. Słowem ożywiona natura staje się coraz więcej podobną do naszej teraźniejszej.

Epoka trzeciorzędowa odznacza się szczególnie stopniowym rozwojem ssawców. Początkowo, jak już wspomnieliśmy, ssawce były drobne; w epoce trzeciorzędowej zjawiają się powoli gatunki coraz to większych rozmiarów, największe olbrzymy między nimi żyły właśnie w końcu tej epoki. Prócz tego w epoce trzeciorzędowej widać stopniowe doskonalenie się budowy ciała ssawców. Tak np. pomiędzy pierwotnymi ssawcami było wiele torbaczów, które, jak wiemy, należą do najniższej grupy ssawców pomiędzy żyjącymi; lecz obecnie posiadamy niewiele gatunków torbaczów, tych zabytków starożytnej fauny. Następnie liczne ssawce posiadały budowę ciała ciężką, niezgrabną; było wiele zwierząt gruboskórnych, albo też okrytych grubemi pancerzami. Lekkie i szybkie w biegu jelenie, gazele, sarny, konie oraz zwinne małpy zjawiły się na ziemi stosunkowo niedawno.

Wreszcie epoka czwartorzędowa rozpada się na dwa okresy; w pierwszej połowie klimat był jeszcze ciepły, jak poznać można po roślinności i zwierzętach, właściwych temu okresowi. Lecz w drugiej połowie epoki czwartorzędowej klimat się zmienił: niewiadome nam są jeszcze przyczyny dlaczego ziemia nasza przez długi czas okrytą była śniegiem i lodowcami nawet w tych krajach, które obecnie cieszą się łagodnym klimatem.

Naturalnie, że taka zmiana klimatu wywarła wielki wpływ na roślinność i świat zwierzęcy; między ssawcami największe olbrzymy wyginęły w tym okresie, tak iż za naszych czasów nie mamy już na lądach takich ogromnych zwierząt czworonożnych, jakie żyły w epoce trzeciorzędowej i w początkach czwartorzędowej. Ale w zamian za to morza teraźniejsze obfitują w większe, niż kiedykolwiek ssawce, do nich zaliczają się wieloryby. W epoce czwartorzędowej ukazują się pierwsze kopalne szczątki człowieka, odtąd rozpoczyna się jego panowanie.

Jeżeli teraz rzucimy okiem na całość historji naszej ziemi, to zobaczymy, że każda epoka na ziemi miała swój wielki rozkwit; nie zapominajmy przytem, że każda z nich trwała niezmiernie długi okres czasu, niedający się nawet obliczyć.

Powtóre widzimy, że teraźniejsze typy zwierząt nie wszystkie odrazu żyły na ziemi, lecz zjawiały się stopniowo, przytem początkowo żyły przez długi czas same niższe typy, później ukazywały się rośliny i zwierzęta coraz to doskonalsze. Wiele też gatunków znikło z oblicza ziemi, nie pozostawiwszy potomków.

Paleontologja przeto dostarcza nam dowodów, że zwierzęta, jako też i rośliny podlegały ewolucji. Ewolucję tę upatrują w części nie tylko w doskonalszej budowie ciała, ale i we wzrastającym stopniu rozwoju umysłowego u zwierząt; najinteligentniejsze z nich zjawiły się najpóźniej. Widzimy więc, że cała ożywiona natura rozwijała się, doskonaliła, stawała się coraz więcej urozmaiconą, wreszcie suma inteligencji wzrastała w niej stopniowo. Wnioskować tedy możemy, iż za naszych czasów przyroda posiada nierównie więcej powabu i dostarczyć może więcej przyjemności, niż w epokach ubiegłych.

Człowiek wreszcie zjawił się najpóźniej; jest on fizycznie o wiele słabszy od rozmaitych

zwierząt, a jednak jest najwyższą istotą na ziemi. On jeden zgłębia tajniki natury, myślą ogarnia przeszłość i przyszłość, a „wielkość jego polega na poszukiwaniu piękna, prawdy i dobra“.

Dr. M. Stefanowska.

Nadbrzeżne fale.

Obrazek z życia.

Dzień był jasny, pogodny, słoneczny. Niezmierzone, głębokie morze mieniło się bogactwem barw, lśniło wspaniałością blasków, migotało tysiącem iskier drżących na falach z opali, przetykanych złotem. Jak okiem sięgnąć daleko i szeroko rozlała się woda, tętniąca ruchem miljardów istot, kryjących się w jej łonie.

Od krańców najdalszych, od tych głębin, gdzie walka o byt najbujniej rozwija się i kipi, kłębią się i wzdymają groźne bałwany. Z szumem, podobnym do złowrogiego pomruku zbuntowanych mas, biegną ku wybrzeżom. Nagle jakby przerażone dotknięciem ziemi, cofają się i zapadają w głębinę. Tylko nadbrzeżne fale, drżące wzruszeniem pod wpływem powierzonych im przez te szumy tajemnic, opromienione iskrami błyszczących w blaskach słonecznych pian, uderzają piersiami o twardą skał opokę. Odepchnięte, powracają nieustraszone, niezmordowane — powracają wciąż, aby nieść ziemi skargi, bunty i pragnienia tych dalekich, tajemniczych głębin.

Nadbrzeżne fale mówią:

„Czy słyszysz ty, twarda i zimna glino, której żaden ból nie wzruszy, żadna skarga dreszczem współczucia nie przejmie, żaden jęk do martwego serca w łonie nie przemówi, czy słyszysz? Tam daleko, gdzie toń morza niezgłębiona, coś gotuje się, burzy i zrywa.

„Morze żyje, czuje, cierpi; morze walczy, buntuje się i grozi. W głębiach jego miljony istot rodzi się, kocha, nienawidzi i umiera, w nieustannej pogoni za czemś, co ani do życia, ani do kochania, ani do śmierci nie jest potrzebne. Morze sroży się, wzdyma, szaleje — ale nie rozumie potrzeb i pragnień mas, burzących się na jego dnie — nie umie wypowiedzieć tych walk i bólów, które wstrząsają jego łonem.

„A masy te chcą światła, prawdy, szczęścia — nie chcą być głodne i samotnie iść przez życie. Ciasno im w tych pętach, które ziemia na nie nakłada — ciemno w tych głębiach, do których promień słońca przedrzeć się nie może.

„Ból, co pierś ich gniecie, mrok, co dusze ich obsiada — czczość, co wnętrzności ich trawi są dla nich wieczystem źródłem niezaspokojonych żądz i nieustających buntów. One pragną swobody, przestrzeni, słońca. Bezwiednie, instynktownie rwą się do wyższych warunków bytu.

„W męce wielkiej i trwodze serdecznej marzą o wolności — chcą potargać krępujące zapory — szukają drogi, któraby je z tych ciemnych otchłani wywiodła na wyżyny. My im tę drogę wskażemy, skruszymy te skały, któremi opancerzasz pierś twoją zimną, bez czucia dla dzieci twoich własnych“...

Tak mówią nadbrzeżne fale, które co dzień jasne słońce rozgrzewa, które czystem okiem w błękit nieba patrzą i bezustanne z nieśmiertelnym duchem przyrody prowadzą narady. Zbierają one w siebie wszystkie tajemnice morskich głębin i gorącą piersią o zimną pierś ziemi uderzając, wołają:

„Ty coś im życie dała — daj tym istotom szczęście — a nie zechcesz — to zetrzemy cię w proch!“...

* * *

Od ulic portowego miasta biegł ku morzu gwar życia, wielkiej ludzkiej gromady.

Dzień był upalny, duszący. Powietrze, przesycone dymem i kurzem, tamowało oddech w piersiach. Słońce sypało na czoła żar swoich jaskrawych promieni — kamienie rozpalone piekły w stopy — od murów biło gorąco nieznośne, przepalające mózg i wyczerpujące siły.

W dzielnicy najbliższej portu, mimo skwaru, ruch i ścisk był niesłychany. Tramwaje i powozy, ręczne wózki i ładowne wozy z trudnością torowały sobie drogę wśród tłumu przechodniów. Ludzie wszystkich narodowości, wieku i stanu biegli na różne strony — podnieceni, rozpędzeni, roztrącający się wzajemnie, w pogoni za chlebem.

Krzyki i przekleństwa, nawoływania i groźby, ryk zwierząt i turkot niezliczonych kół, zlewały się w piekielny hałas odurzający, mącący zmysły.

Wzdłuż wybrzeża ciągną się szeregi domów, wielkich, czarnych, ponurych, z powybijanemi szybami w oknach, zakratowanych dla tego chyba, żeby z tych przytułków ludzkiej nędzy — nie mogły uciec brud, występek i ciemnota.

Pod murami domów, leżą pokotem na rozpalonym bruku ludzie czarni od promieni słońca, miesięcami nie zmywanego pyłu węgla i brudów ulicy. Jedni śpią położywszy dłonie pod głowę — z twarzą zwróconą wprost na słońce. Inni rozmawiają, rzucając sobie z daleka słowa krzykliwe, żarty brutalne, dzikie przekleństwa. Inni jeszcze siedzą na progach domów i sklepów, trzymając na rękach niemowlęta — które śmieją się do ich ponurych, czarnych twarzy i drobne rączki zatapiają w ich długich, rozkudłanych włosach.

Najwięcej ludzi tłoczy się koło szynkowni i winiarni, które nieskończonym szeregiem ciągną się wzdłuż ulicy, jedna przy drugiej, a nawet jedna nad drugą. Winiarnie mieszczą się w piwnicach, szynkownie na dole, a zadaniem ich oprócz dostarczania rozkoszy parjasom ludzkości, jest ochrona tych prymitywnych umysłów od groźnych niebezpieczeństw zbudzenia się samowiedzy. Dzięki tym instytucjom, tłum roboczy, napół nieprzytomny, od rana do wieczora odurzony stale, nie czuje ani ciemnoty swej, ani poniżenia, ani nędzy.

Na murach domów porozlepiano gęsto świeże plakaty, przy których zbierają się gromadki ludzi, rozprawiających głośno. Nieliczni "uczeni", dla których te czarne, tajemnicze znaki nie są mistyczną zagadką, rozstawieni może umyślnie dzisiaj dla pouczenia pospólstwa, odczytują głośno ogłoszenie i objaśniają je.

„W mieście ukrywa się buntowszczyk, wróg porządku i cara, „nihilista". Kto go odkryje lub złapie otrzyma 60 rs. nagrody".

60 rs. nagrody! Ile to wódki można dostać za to, ile pestek dyni kupić dla dziecka, ile uśmiechów otrzymać od żony, która tak rzadko się uśmiecha. Żądza otrzymania nagrody wzbiera w piersiach wszystkich. Każdy rzuca ukradkiem szybkie, niespokojne spojrzenia w bok, czy nie zobaczy postaci, której rysopis, podany na ogłoszeniach, znają wszyscy. Każdy uważa, że nagroda jemu się należy.

„Co on takiego zrobił?" pytają niektórzy, bardzo nieliczni, nie rozumiejąc za co właściwie ta nagroda.

„Buntuje lud". Kręcą głowami, oburzają się. Innych nie obchodzi to wcale. Widzą tylko obiecaną nagrodę i pożądają jej. Nie zdają sobie najzupełniej sprawy, że to zapłata za życie człowieka. Są bardzo podnieceni. Każdy chciałby zobaczyć go pierwszy, tego „nihilistę", co buntuje lud i jest wrogiem cara. Każdy pragnie własnemi rękami chwycić go i oddać w ręce władzy, zarzucić mu stryczek na szyję, podciągnąć na szubienicę — nie dla tego, że to buntowszczyk, ale dla tego, że za niego 60 rs. zapłacą.

Niepokój ogarnia całą ulicę — ogromne pieniądze, majątek cały jest tuż, tuż — tylko rękę po niego wyciągnąć. Kto pierwszy pochwyci — szczęśliwy. Obrzucają się wzajemnie spojrzeniami pełnemi pogardy i nienawiści. Żądza rozdziela tych, których nędza dotąd łączyła. Czekają dysząc, gotowi tratować się wzajemnie byle nie pozwolić wydrzeć sobie łupu. Biedny, ciemny, pijany tłum!

Tymczasem na trzeciem piętrze jednej z tych brudnych i ponurych kamienic, w nędznej zakratowanej izdebce, siedzi przy stole młodzieniec w ubraniu robotnika, ale z tak niezwykłym wyrazem twarzy, że odrazu poznać można w nim człowieka, którego strawiła nie fizyczna praca i nędza, ale wewnętrzny żar ducha.

Na zapadłej, zczerniałej twarzy wybiły się ciemne plamy rumieńca. Szkarłatem krwi młodej płoną małe usta, puchem zaledwie wysypującego się wąsa ocienione. Jasne, głęboko osadzone oczy, łagodne oczy dziecka, tryskają iskier tysiącem. Drobne, chude ręce, zaplecione kurczowo, drżą od wewnętrznego wzburzenia.

(Dok. nast.). *M rja Turzyma.*

Błędy językowe.

19. Dawniej pod wpływem łaciny, a obecnie pod wpływem niemczyzny i francuszczyzny używaliśmy i używamy czasami przypadku czwartego zamiast drugiego w wyrazach, oznaczających przedmiot czynności zaprzeczonej; źle tedy mówić: „Nie znam tę panią", „Nie piszę rachunki nigdy przed południem" i t p.; należy mówić: „Nie znam tej pani", „Nie piszę rachunków..." itd. Wyjątek stanowią tylko wyrazy: c o, n i c, i l e, t y l e, w i e l e: „Nie mam co jeść", „Nic nie wiem", „Nie mam tyle pieniędzy" itd. Dowcipny Jan Lam błędne to używanie przyp. czwartego nazywał „accusativus tromtadraticus".

20. Jeżeli nie możemy się obejść bez wyrazu, którym z cudzoziemska nazywamy zwykle gałąź, specjalność, zawód itp, a który brzmi b r a n ż a, to wymawiajmy go przynajmniej porządnie b r a n s z a, bo jest to francuzkie b r a n c h e, zmienione w ustach niemieckich b r a n ż e. Podobnież w Poznańskiem słychać n y ż a w znaczeniu wnęki, framugi, niszy, z franc. n i c h e, przekręconego przez Niemców na n y ż e.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie